

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

3

— Znałyśmy ją obie przed ślubem, gdy stał się o nią pan Ramieński, dzisiejszy jej mąż, — zaczęła Natalcia.

— A, Ramieński! — przerwał jej Niedzicki, — znam go, łobuz, ale niezły kompan.

— I ja go znam, — dodał Bachmacki, — trochę hulaka i wcale nie wiedziałem, że żonaty.

— W ładnej kompanii przebywacie panowie, — zadrwiła Natalcia, — ale posłuchajcie, jakie to ziółko dla żony.

— Ach, to są sprawy osobiste, a do tych się nie wtrącam, — rzekł z niesmakiem Bachmacki.

— O, tak, dla was ażeby był dobry przy kieliszku, ale jaki on mąż i ojciec, to już was nie obchodzi, — drwiła Natalcia, — a dla nas to drugie ważniejsze.

— To prawda, — potwierdziła Romcia, — coś się stało z Bronią?

— Otóż oni oboje kochali się przed ślubem do szaleństwa... Pamiętasz, Romciu, jak ona go kochała?

— Doskonale! Nie chciała nic jeść, pić, zbladła, zmizerniała...

— A on strzelał się z wielkiej miłości.

— I zabił się? — uśmiechnął się Niedzicki.

— Niech pan nie drwi, — upomniała go Natalcia poważnie, — bo on naprawdę chciał się zastrzelić.

— Czy z zawiedzionej miłości? — spytał Bachmacki.

— Nie, już mówiłam, że oboje kochali się nadzwyczajnie, ale rodzice Brońci nie chcieli jej wydać za niego. Przeczuli, co to za ptaszek, a Bronia miała w posagu dwadzieścia tysięcy koron.

— No, suma niewielka, — zauważył Bachmacki, — zaledwie starczy na buciki i kapelusze.

— Niech mi pan nie przerywa... Otóż Bronia po prostu zmusiła rodziców i pozwolili. Z początku nie rozłączali się ze sobą, oboje wpatrzni w siebie, zakochani, że ich pokazywano sobie palcami na Plantach, bo szli jak ślepi i błędni. Aż po kilku miesiącach pan mąż wyfrunął z domu, nie był na obiadach, przychodził nad ranem. Niby to zajęty, bo założył dom handlowy, i żonę zaniedbywał coraz więcej. A gdy urodziła się im córeczka, on jest tylko gościem w domu. I tak skończyła się ich gwałtowna miłość!

— Hm... ona nie umiała go przywiązać do siebie, — zauważył Niedzicki.

— To nie była prawdziwa miłość, ale słomiany ogień namiętności niskiej, — dodał sentencyonalnie Bachmacki, — miłość oparta na harmonii dusz trwa wiecznie.

— Już my znamy to wasze: „wiecznie“, — zaśmiała się Natalcia, — u was wiecznie trwa tak długo, póki ona jest świeża i młoda, a po pierwszej zmarszczce kończy się ta wieczna miłość.

— O, nie ja! — zawołał Niedzicki, wpatrując się w Natalcię, — kocham stale i wiernie.

— Ja nie lubię przysiąg, ale gdy raz pokocham, to na zawsze, — rzekł z powagą Bachmacki.

— Dobrze, dobrze, — zaśmiała się Natalcia wstając, — może kto temu uwierzy, ale nie ja... Idę już, Romciu, czy nie pójdziesz z nami?

Ona miała wprawdzie wielką ochotę przejść się, ale jak tu wyjść w takim kapeluszu? Odpowiedziała też stanowczo:

— Muszę czekać na męża, nie mogę.

— Ależ, Romciu, odprowadź nas tylko do rogu ulicy, spotkasz przecież twego męża i pana, gdyby zechciał przyjść, — zachęcała Natalcia.

— Nie, nie mogę.

— Co za ceremonie! — udawała niezadowolone Natalcia, — weź kapelusz i chodź!

To mówiąc zbliżyła się do szafy, w której był kapelusz, co widząc Romcia podbiegła szybko, zamknęła szafę i stanęła przed nią, mówiąc gniewnie:

— Nie pójde!

— Pokaż przynajmniej twój kapelusz, — śmiała się Natalcia, — zobaczymy, że jest ubrany piórami.

— Jaki jest, to jest, ale ja nie mam kapelusza na pokaz.

— Jeśli nie, to nie! Kiedyż, Romciu, przyjdiesz do mnie?

— W tych dniach.

— Czy w kapeluszu? — zaśmiała się, — bo może nie zechcesz go pokazać.

— W jakim kapeluszu, obaczysz.

— Czy masz nareszcie nowy?

— Mam, — powiedziała twardo ze względu na obecność dwóch panów.

Pożegnały się najserdeczniej, a Romcia wróciwszy do pokoju, zapaliła lampę i usiadła smutna w rogu kanapki, rozmyślając z goryczą o mężu i o swym niedostatkach.

Bachmacki przysunął sobie krzesło do niej i spytał miękim, współczującym głosem:

— Pani Romciu, dlaczego pani smutna?

— Ach, mam swoje zmartwienia, — westchnęła.

— Jakie? Niech mi pani powie, wszystko zrobię, ażeby je usunąć.

— To się tak mówi, — uśmiechnęła się, — jakże podobna się panu dzisiaj Natalcia?

— Jak zwykle... ależ chwaliła się swym kapeluszem, — zaśmiał się, — i trochę dokuczała pani.

— Trochę? — uśmiechnęła się ironicznie, — przez cały czas drwiła ze mnie i z mego kapelusza. Czy nie zauważył pan, że nawet sama chciała go wyjąć ze szafy, ażeby mnie ośmieszyć.

— Tak, to zauważyłem, ale dlaczego pani nie pokazała sama?

— Bo jest niemodny i stary, — wybuchnęła rozżalona.

— To najmniejsza rzecz — zaśmiał się, — nowy można zawsze kupić.

— Ale trzeba mieć pieniądze, — powiedziała rozdrażniona i zawodem doznany od męża, a może jeszcze bardziej drwinami Natalci i jej pięknym, modnym kapeluszem.

— Ach, rozumiem... pan Winecki jest oszczędny dla żony, ale przecież pani może zrobić małe oszczędności domowe i na przekór mężowi wystroić się w nowy, piękny kapelusz.

— Zanim oszczędzę, minie wiosna i zmieni się moda, — westchnęła z miną smutną.

— I na to jest sposób. Niech mi pani zrobi tę łaskę i pożyczysz odemnie, a odda mi pani za kilka miesięcy.

— Nie mogę, to nie wypada i nie wspominaj mi pan o tem, — powiedziała surowo, a swoją drogą uśmiechała się jej ta myśl, że wbrew woli męża będzie miała kapelusz i zadziwi Natalcię.

— Da mi pani wielki dowód przyjaźni i zaufania, gdy raczy pani pożyczyć u mnie tę drobnośćkę.

— O, to nie drobnostka! Możliwy kapelusz kosztuje drogo. Mój zeszłoroczny kosztował czterdzieści koron.

— Tylko?... Sądziłem, że drożej... I chce pani, czy nie, pożyczam pani pięćdziesiąt koron... odda mi pani, kiedy zechce, — dostał pugilares, wyjął pieniądze i położył na stole.

— Nie! Nie! — protestowała, ale więcej już dla formy, pokusa była zbyt silna, nie banknot bowiem pięćdziesiątkoronowy widziała na stole, lecz upragniony kapelusz fasonu najmodniejszego. Obliczała w myśli, że jeśli codziennie oszczędzi koronę, a to jest możliwe, bo przecież nie będzie dogadzała mężowi po tem, co jej zrobił, oszczędzi pięćdziesiąt koron w niecałe dwa miesiące i zwróci Bachmackiemu.

— Rozumiem wzdraganie się pani, — przemówił głosem miękim, — pani dusza taka czysta i wzniosła nie może się pogodzić z materjalizmem świata, ale są konieczności życia i to w niczem nie ubliża pani, że czasem trzeba tym koniecznościom ulegać. Jestem pewny, że pani ma niechęć do obowiązków żony... do liczenia się z kucharką... do pamiętania, co mąż lubi, a czego nie lubi, a jednak ulega pani. I tu zachodzi coś podobnego. Pani nie lubi długów, zobowiązań; w tym wypadku jednak pani nie zaciąga długu, lecz czyni mi łaskę, przechowując te pieniądze u siebie.

— O, z pana kusiciel, — zaśmiała się i spojrzała mu zalotnie w oczy, — co mam robić? Boję się, a jednak ulegam namowom pana... Wzjęmę, ale pod warunkiem, że nikt, ale to nikt nie będzie o tem wiedział.

— Mogę przysiąc pani na wszystko, co najświętsze, że prócz nas dwojga nikt się nie dowie o tem... a nawet ja już zapomniałem, — wziął jej rękę, pocałował i trzymał w swojej, nie szczędząc uścisków delikatnych.

— O, z pana kusiciel, — zaśmiała się i spojrzała mu zalotnie w oczy, — co mam robić? Boję się, a jednak ulegam namowom pana... Wzjęmę, ale pod warunkiem, że nikt, ale to nikt nie będzie o tem wiedział.

— Mogę przysiąc pani na wszystko, co najświętsze, że prócz nas dwojga nikt się nie dowie o tem... a nawet ja już zapomniałem, — wziął jej rękę, pocałował i trzymał w swojej, nie szczędząc uścisków delikatnych.

— O, z pana kusiciel, — zaśmiała się i spojrzała mu zalotnie w oczy, — co mam robić? Boję się, a jednak ulegam namowom pana... Wzjęmę, ale pod warunkiem, że nikt, ale to nikt nie będzie o tem wiedział.

— Mogę przysiąc pani na wszystko, co najświętsze, że prócz nas dwojga nikt się nie dowie o tem... a nawet ja już zapomniałem, — wziął jej rękę, pocałował i trzymał w swojej, nie szczędząc uścisków delikatnych.

— O, z pana kusiciel, — zaśmiała się i spojrzała mu zalotnie w oczy, — co mam robić? Boję się, a jednak ulegam namowom pana... Wzjęmę, ale pod warunkiem, że nikt, ale to nikt nie będzie o tem wiedział.

— Mogę przysiąc pani na wszystko, co najświętsze, że prócz nas dwojga nikt się nie dowie o tem... a nawet ja już zapomniałem, — wziął jej rękę, pocałował i trzymał w swojej, nie szczędząc uścisków delikatnych.

— O, z pana kusiciel, — zaśmiała się i spojrzała mu zalotnie w oczy, — co mam robić? Boję się, a jednak ulegam namowom pana... Wzjęmę, ale pod warunkiem, że nikt, ale to nikt nie będzie o tem wiedział.

— Mogę przysiąc pani na wszystko, co najświętsze, że prócz nas dwojga nikt się nie dowie o tem... a nawet ja już zapomniałem, — wziął jej rękę, pocałował i trzymał w swojej, nie szczędząc uścisków delikatnych.

— O, z pana kusiciel, — zaśmiała się i spojrzała mu zalotnie w oczy, — co mam robić? Boję się, a jednak ulegam namowom pana... Wzjęmę, ale pod warunkiem, że nikt, ale to nikt nie będzie o tem wiedział.

— Mogę przysiąc pani na wszystko, co najświętsze, że prócz nas dwojga nikt się nie dowie o tem... a nawet ja już zapomniałem, — wziął jej rękę, pocałował i trzymał w swojej, nie szczędząc uścisków delikatnych.

— Sama powiem... zaczekam na pana.

Marcinowa odeszła, trzaskając drzwiami za sobą, co Romcia starała się wyłłomaczyć gościowi mówiąc:

— Dobra z niej służąca, ale gniewliwa czasami, — i z obowiązku gospodyni dodała: — a może pan pozwoli herbaty?

— Zostałbym najchętniej, ale ze względu na panią Szabelską i pana Niedzickiego muszę iść.

— Z ich powodu? — zdziwiła się, — czy macie się spotkać?

— Ależ nie! Tylko obawiam się plotek, któreby mogły zrobić pewną przykrość pani, a tego chcę zawsze unikać. I tak, pani Szabelska robiła niesmaczne aluzje do nas, chociaż jesteśmy niewinni, jak dzieci.

— Jaki on delikatny i uważny, pomyślała, inny skorzystałby z tego sam na sam, zostałby dłużej, a przecież mąż może wrócić, i pewno krzywiłby się na taką wizytę. Już miała wyrazić mu uznanie, ale przyszło jej na myśl, że będzie lepiej wyglądało, gdy mając taką czystą i wzniosłą duszę, okaże lekceważenie dla plotek.

— Co mnie obchodzą gadania innych, jeśli jestem niewinna? Wszyscy wiedzą, jak kocham męża, i nikt nie śmie mnie podejrzewać... Zostań pan.

— Nie mogę. Pani, jak lilia czysta i biała, ale czy to wina lilii, gdy ją ktoś obryzga błotem? — patrzył w nią rozkochanemi oczyma. — Idę, a kiedy się spotkamy?

— Nie wiem; może pan zajdzie do nas?

— O której porze? Jaki jest porządek dnia u pani?

— Mąż idzie rano na budowę i wraca o pierwszej na obiad. Ja zajmuję się gospodarstwem, porządkami...

— I wychodzi pani przed południem?

— Rzadko kiedy.

— A po południu?

— Mąż śpi do trzeciej i znów idzie na budowę, potem wraca, czasem idziemy na spacer, do teatru i koniec dnia.

— Już wiem... jeżeli pani pozwoli, to jutro będę około piątej.

— Jutro?... Nie wiem, czy będę w domu.

— A do kościoła chodzi pani?

— Co niedziela z Natalcią, a potem spacerujemy po rynku.

— Bardzo dobrze, — uśmiechnął się, — pojutrze niedziela i obaczmy się w południe. Moje uszanowanie, — całował jej rękę, wpatrując się w jej oczy, — i do widzenia!

— Do widzenia.

Romcia została w saloniku i słyszała cichą rozmowę w przedpokoju z Marcinową, która żegnała Bachmackiego, mówiąc uradowanym głosem:

— Całuję rączki!

Gdy drzwi wejściowe zamknęły się za Bachmackim, Romcia poszła do kuchni i spytała z uśmiechem:

— Co Marcinowa tak długo żegnała tego pana?

— Bardzo porządny pan, — chwaliła go, — zna się na grzeczności.

— Dużo dał Marcinowej? — zaśmiała się.

— Co dał, to dał, ale nie o to idzie, tylko, że uszanuje człowieka. Czy podać herbatę, bo szkoda węgla.

— Zaczekam na pana.

— Będzie jak z obiadem, — mruknęła.

Jaki on jednak elegancki, myślała Romcia o Bachmackim, nie żałuje dać służącej za podanie palta, nie taki jak mój mąż, który hałasuje, wymaga, a nie daje i grosza. Ten Bachmacki nie jest zwykły, przeciętny człowiek. Jak on ślicznie mówił o duszy! I właśnie ona tak mu się podobała! Podeszła do lustra i przyglądała się sobie z przyjemnością.

Wtem posłyszała zgrzyt klucza w zatrzasku i wbrew przepowiedni Marcinowej Winecki przyszedł wcześniej, a widząc żonę ubraną do wyjścia, z rozmysłu bowiem nie zmieniła sukni, przypomniał sobie swe przyrzeczenie i całując żonę w rękę usprawiedliwiał się z pozorem lekko-myślności:

— Wiesz, Romciu, miałem niespodziewane spotkanie z jednym budowniczym z Królestwa, przyjechał tu po pewne materiały, — mówił z uśmiechem, podziwiając siebie, że tak gładko umie tworzyć bajkę, — nie mogłem się wyrwać, chociaż pamiętałem, że mamy wyjść razem.

— A ja, jak widzisz, czekałam na ciebie do tej pory, — powiedziała z wymówką.

— No, nic straconego, pójdziemy kiedyindziej... masz herbatę? — rzucił marynarkę, kamizelkę, włożył pantofle przygotowane w sypialnym pokoju.